

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 11. VI. 1929.

Nr. 45

Człowiek, wychowany przez małpy

19)

Dzieło i przeżycia młodzieńczego rozbitka

Wysłał również depeszę do swych bankierów o pieniądze. Przymusowe oczekiwanie w ciągu miesiąca, które im obu bardzo dokuczyło, wyniło z braku pieniędzy na wynajęcie statku, który by ich zawiózł z powrotem do dżungli Tarzana po skarb.

W czasie swego pobytu w portowym mieście „pan Tarzan” stał się przedmiotem podziwu zarówno białych jak i czarnych jego mieszkańców z powodu kilku wydarzeń które dla Tarzana były rzeczami najzwyczajniejszymi.

Zdarzyło się raz że murzyn potężnej postaci pod wpływem trunków oszalał i trzymał w strachu całe miasto do chwili kiedy nieszczęsna gwiazda nie zaprowadziła go w to miejsce, gdzie czarnowłose olbrzym kołysał się na werandzie hotelu.

Potrząsając nożem, murzyn wbiegł na szerokie schody i skierował się wprost do towarzystwa czterech mężczyzn siedzących przy stole i zapijających nieunikniony absynt.

Wydawszy okrzyk, czwórka co tchu starczyło uciekła. Wtedy murzyn spostrzegł Tarzana.

Z rykiem rzucił się na małpę - człowieka a z pięćdziesiąt głów wyglądało z poza zasłon okien nych i z za drzewi by być świadkiem jak czarny olbrzym zamorduje Francuza.

Tarzan wystąpił przeciwko murzynowi z uśmiechem, jakiradość z walki sprowadzała zawsze na jego usta.

Kiedy negr podbiegł i zamierzył się nożem, stalowe muskuły pochwyciły wyciągniętą jego rękę. Jedno silne szarpnięcie wystarczyło; ręka obwisła, gdyż kość została złamana.

Murzyn oprzytomniał pod wpływem bólu i zadziwienia a gdy Tarzan usiadł znów na fotelu opuścił werandę, zawodząc z bólu i zaczął uciekać w stronę mieszkań tubylców.

Innym razem gdy Tarzan i d'Arnot siedzieli przy obiedzie w towarzystwie ludzibiłych, rozmowa zeszła na opowiadania myśliwskie o lwach.

Nie było zgody co do odwagi króla zwierząt — niektórzy utrzymywali że jest to wierutny tchórz. Wszyscy jednak byli w tem zgodni że zawsze chętnie chwytali za swoje myśliwskie karabiny kiedy posłyszeli w nocy ryk monarchy dżungli w pobliżu obozowiska.

D'Arnot i Tarzan umówili się nie rozgłaszać przeszłości, wobec czego nikt z towarzystwa prócz francuskiego oficera, nie wiedział, jak Tarzan miał sobie radzić z drapieżnymi zwierzętami dżungli.

— Pan Tarzan nie wypowiedział swojego zdania — powiedział któryś z panów. — Taki dzielny człowiek jak pan Tarzan, który spędził dużo czasu

w Afryce, musiał mieć przygody ze lwami — napewno?

— Tak jest, — odpowiedział Tarzan sucho. — Mogę powiedzieć, że każdy z was miał rację w swej charakterystyce tych lwów, które napotkaliście. Z równą słusnością można by jednak wydać sądy że wszyscy murzyni zostają napadu szaleństwa, ponieważ jednego to spotkano, lub twierdzić, że wszyscy biali są tchórze, ponieważ ktoś napotkał białego człowieka tchórzliwego usposobienia.

— Istnieje dużo różnic indywidualnych wśród przedstawicieli niższych gatunków, panowie, jak i wśród nas.

— Dnia pewnego możemy wyruszyć i natrafić na lwa bojaźliwego — ucieka on przed nami. Dnia następnego możemy napotkać stryja lub brata poprzedniego lwa i przyjaciele nasi dziwić się będą, dlaczego nie powróciliśmy z dżungli.

— Gdybym wyruszył na lwa w kilka strzelb z człowiekiem niosącym mi broń i dwudziestu lub trzydziestu naganiaczami, wiedziałbym że szanse lwa są złe. Co się tyczy przyjemności to małałaby ona w miarę wzmożonego mojego osobistego bezpieczeństwa.

— Z tego wynikałoby, że pan Tarzan wolałby udać się nago do puszczy mając z sobą nóż tylko, — powiedział z uśmiechem dobrodusznym ten, kto pierwszy przemawiał.

— I linkę także, — dorzucił Tarzan.

Właśnie w owej chwili rozległ się ryk lwa, z odległej dżungli, jak gdyby wyzwanie, czy kto zechce wystąpić z nim do walki.

— Oto nadarza się sposobność, panie Tarzanie, — zadowcipkował Francuz.

— Nie jestem głodny, — odrzekł Tarzan spokojnie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, wszyscy prócz d'Arnota. On jeden wiedział, że drapieżne zwierzę wygłosiło swą prawdziwą rację przez usta małpy-człowieka.

— A jednak pan się obawia, jak każdy z nas, wyjść na spotkanie ze lwem nago, mając za jedyne uzbrojenie nóż i linkę, — rzekł dowcipniś. — Czy nie tak?

— Nie, — odrzekł Tarzan. — Tylko ten, kto nie ma rozumu, robi jakiś czyn, nie mając żadnego do czynu powodu.

— Pięć tysięcy franków niech będzie powodem, — odrzekł pierwszy. — Zakładam się o pięć tysięcy franków, że nie potrafi pan sprowadzić z dżungli lwa na warunkach przez nas omówionych — nago, mając za uzbrojenie tylko nóż i linkę.

Tarzan rzucał spojrzenie w kierunku d'Arnota i kiwnął głową.

— Niech postawi dziesięć tysięcy, — rzekł d'Arnot.

— Zgoda, — odpowiedział pierwszy.

Tarzan wstał.

— Muszę pozostawić swe ubranie na skraju kolonji, żebym miał w co się ubrać, by iść po ulicach, jeżeli nie powrócę przed wschodem słońca.

— Chyba nie masz pan zamiaru iść teraz zaraz, nocą? — wykrzyknął stawiający zakład.

— Dlaczego nie? zapytał Tarzan. — Numa przechadza się nocą — łatwiej będzie znaleźć lwa.

— Ależ nie, — odpowiedział pierwszy, — nie chcę, żeby krew pańska spadła na mnie. Już dosyć szalonym przedsięwzięciem będzie, jeżeli wyjdiesz pan za dnia.

— Idę teraz, — odpowiedział Tarzan i udał się do swego pokoju po nóż i linkę.

Współbiednicy odprowadzili go do skraju dżungli, gdzie pozostawił swe ubranie w małym budynku.

Kiedy miał już wkroczyć w ciemne krzaki, próbowano odwieść go od zamiaru. Ten, kto wywołał zakład, jaknajbardziej nalegał, by porzucił swój szalony zamiar.

— Zgadza się, że pan wygrał zakład, — rzekł, — dziesięć tysięcy franków są pańską własnością, tylko porzuć pan ten niemądry pomysł, który musi się skończyć pańską śmiercią.

Tarzan roześmiał się i w chwilę potem puszcza pochłonęła go w swych głębiach.

Towarzystwo powstało czas jakiś, później wszyscy powrócili powolnym krokiem na werandę hotelu.

Tarzan, wszedłszy do lasu, zaraz chwycił się gałęzi. Z radosnem uczuciem odzyskanej swobody przerzucał się z gałęzi na gałąź.

To było życie! Ach, jakże kochał on swój las! Cywilizacja nie miała nic równego w swej wąskiej i zakreślonej sferze działania. Nawet ubranie było przeszkodą i rzeczą niepotrzebną.

W końcu znów był wolny. Nie zdawał sobie nawet sprawy w jakiej był niewoli.

Jak łatwą byłoby dla niego rzeczą zatoczyć koło z powrotem na wybrzeże, a później udać się na południe do swej dżungli i do swej chaty.

Wyróżnił węchem bliską obecność Numpy, gdyż podróżował pod wiatr. Wkrótce jego bystry słuch rozpoznał znany sobie odgłos stąpania nóg i ocierania się wielkiego cielska, pokrytego futrem o krzaki.

Tarzan po cichu znalazł się tuż nad nie podejrzającym zwierzęciem i w cichości szedł w jego ślady, aż lew wyszedł na małą polankę oświetloną światłem księżyca.

Wtedy szybko zarzucona pętlica spadła i owinęła się około płowego gardła. Tak, jak to już setki razy robił przedtem, Tarzan przywiązał koniec linki do mocnej gałęzi i kiedy zwierzę rzucało się i szarpało pazurami, walcząc o swą swobodę, Tarzan spuścił się na ziemię obok i skoczywszy zwierzęciu na grzbiet, zatopił długie cienkie ostrze kilkakrotnie w serce.

Potem postawiwszy swą stopę na trupie Numpy, wydał budzący grozę zwycięski okrzyk swego dzikiego plemienia.

Przez chwilę Tarzan stał nieruchomo, nie mogąc się zdecydować, pod wpływem sprzecznych uczuć wierności dla d'Arnota i potężnej tęsknoty za swobodą w dżungli. W końcu wspomnienie pięknej twarzy rozwiato pociągający o-

braz, jaki wyobrażenia podsunęła mu z dawnego życia.

Małpa-człowiek zarzucił ciepłe jeszcze cielsko Numpy przez plecy i rzucił się na drzewa ponownie.

Ludzie pozostali na werandzie przesiadzieli całą godzinę w milczeniu. Próbowali rozmawiać o rozmaitych przedmiotach bez skutku. Wciąż myśl przemożna, tkwiąca w mózgu każdego z nich, nie pozwalała na ożywienie rozmowy.

— Miły Boże! — przemówił wkońcu ten, co stawiał zakład, — nie mogę tego znieść dłużej. Biorę mój myśliwski karabin i idę do dżungli, aby sprowadzić z powrotem tego szaleńca.

— Ja także pójdę, — rzekł drugi.

— I ja, — i ja, — i ja, — odezwali się chórem inni. Ta propozycja jak gdyby złamała czary strasznej umowy. Wszyscy pośpieszyli do kwater i wkrótce szli wszyscy ku dżungli — każdy był dobrze uzbrojony.

— Boże! Co do takiego? — wykrzyknął nagle jeden z idących, Anglik, gdy stłumione echo przyniosło dziki okrzyk Tarzana.

— Ja już raz słyszałem taki okrzyk, — powiedział Belgijczyk, — w czasie pobytu w kraju, obfitującym w goryle. Moi ludzie mówili mi, że to jest okrzyk małpy samca po odniesionem zwycięstwie i śmierci ofiary.

D'Arnot przypomniał sobie posłyszany z ust Claytona opis budzącego grozę wycia, którem Tarzan oznajmiał odniesione przez siebie zwycięstwo. Uśmiechnął się półgębkiem wbrew okropnemu uczuciu, jakie nim owładnęło, że ten dziki okrzyk mogło wydać z siebie ludzkie gardło — gardło jego przyjaciela.

Gdy towarzystwo zatrzymało się, doszedłszy do krawędzi dżungli, namyślając się o rozstawieniu swych sił, posłyszeli nagle wesół śmiech w pobliżu i obróciwszy się, ujrzeli zbliżającą się olbrzymią postać, niosącą na swych szerokich barkach zwłoki lwa.

Nawet d'Arnot był jakby piorunem rażony, ponieważ i jemu wydawało się rzeczą niemożliwą do uwierzenia, aby człowiek mógł w tak krótkim czasie zabić lwa, mając do rozporządzenia tak nędzne uzbrojenie, jakie Tarzan wziął z sobą i aby ten człowiek mógł przenieść sam potężne cielsko przez splątany gąszcz dżungli.

Ludzie otoczyli kołem Tarzana, zarzucając go pytaniami. Jedyną jego odpowiedzią były powtarzane ze śmiechem słowa, obniżające znaczenie wielkiego czynu.

Dla Tarzana było to jakby wychwalanie boha terstwa rzeźnika za to, że zabił krowę. Tarzan tak często zabijał lwa, już to na pokarm dla siebie, już to w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa, że sam czyn nie wydawał mu się niczem szczególnem. Był on jednak istotnie bohaterem w oczach tych ludzi — ludzi przyzwyczajonych do polowań na wielką zwierzynę.

Przy tej sposobności wygrał dziesięć tysięcy franków, gdyż d'Arnot nalegał, żeby całą tę sumę przyjął.

Była ona bardzo poważną pozycją dla Tarzana, który teraz właśnie zaczął rozumieć potęgę ukrytą w tych małych kawałkach metalu lub papieru, które przechodziły z jednych rąk do innych za każdym razem, kiedy istoty ludzkie jeździły, jadły, spały w hotelu, nabywały ubranie, piły, pracowały, bawiły się lub szukały osłony przed deszczem, zimmem lub upałem.

Stało się widocznem dla Tarzana, że nie mając pieniędzy ludzie muszą umierać. D'Arnot mówił mu, żeby się nie kłopotał brakiem pieniędzy, posiadał bowiem ich dosyć dla nich obu, lecz małpa-człowiek dowiadywał się wielu rzeczy a między niemi i tego, że ludzie lekceważyli sobie tych którzy przyjmowali pieniądze od innych nie dając wzajem czegoś innego równej wartości.

Niebawem po epizodzie z polowania na lwa udało się d'Arnotowi wymająć stary statek dla dopłynięcia wzdłuż brzegów do zamkniętej lądamii przystani Tarzana.

Był to radosny dla nich obu dzień, w którym mały statek podniósł kotwicę i wypłynął na otwarte morze.

Wycieczka na wybrzeże odbyła się bez szczególnych wydarzeń. Nazajutrz po zarzuceniu kotwicy przed chatą Tar., ten ubrany znów w swój strój, noszony w puszczy, zabrawszy rydel, wybrał się sam jeden do uroczyska małp, gdzie złożony był skarb.

Późnym wieczorem dnia następnego powrócił, niosąc na plecach wielką skrzynię i o wschodzie słońca mały statek przesunął się przez przesmyk przystani w podróż na północ.

W trzy tygodnie później Tarzan i d'Arnot jechali jako pasażerowie na pokładzie francuskiego parowca, udającego się do Lionu. Spędziwszy kilka dni w tem mieście, d'Arnot zabrał Tarzana do Paryża.

Małpa-człowiek chciał jechać do Ameryki, lecz d'Arnot wymógł na nim, żeby mu towarzyszył przedtem do Paryża, nie zdradzając mu, jaka to konieczność skłoniła go do postawienia takiego żądania.

Jedną z pierwszych spraw, które d'Arnot załatwił po przybyciu do Paryża było odwiedzenie wysokiego urzędnika w departamencie policji, da wnego swego znajomego. Tarzana d'Arnot wziął z sobą.

Zręcznie kierując rozmową, d'Arnot doprowadził do tego, że urzędnik wytłumaczył zainteresowanemu tem objaśnieniem Tarzanowi rozmaite metody, używane przy chwytywaniu przestępców i identyfikowaniu osób.

Jedną z najciekawszych był sposób przekonywania się o identyczności osób z odficia palców.

— Jakież znaczenie mogą mieć takie odficia — zapytał Tarzan, — jeżeli po kilku latach linje na palcach całkowicie się zmieniają przez odumarcie tkanin i narastanie nowych.

— Linje nie zmieniają się wcale, — odrzekł urzędnik. — Od dzieciństwa do starości odficia palców ulegają zmianom tylko co do wielkości.

O ile nastąpiło zdjęcie odficia wielkiego palca i czterech palców na obu rękach, to chyba tylko przez utratę tego wszystkiego można uniknąć stwierdzenia tożsamości.

— To zadziwiające, — wykrzyknął d'Arnot. — Ciekaw jestem, jak mogą wyglądać linje moich własnych palców.

Łatwo można się o tem przekonać, — odrzekł oficer policji i zadzwonił na swego pomocnika, któremu wydał jakieś zlecenie.

Wezwany opuścił pokój, lecz zaraz powrócił ze skrzynią drewnianą, którą postawił na biurku swego zwierzchnika.

— Będzie pan widział odficie linji swych palców za małą chwilę.

Wyjął z małej szafki kwadratową szklaną taflę, tubkę gęstego tuszu, gumowy wałek i kilka czystych białych kart.

Wycisnąwszy kroplę tuszu na taflę, roztarł ją na powierzchni za pomocą gumowego wałka. Powierzchnia pokryła się bardzo cienką jednostajną warstwą tuszu....

— Proszę położyć cztery palce prawej ręki na taflę, ot tak, — przemówił porucznik. — A teraz palec duży, dobrze. A teraz palec w tej pozycji na tej karcie, tu, nie — trochę bardziej na prawo. Musimy zostawić miejsce na wielki palec i resztę palców lewej ręki. Dobrze; skończone. A teraz niech pan zrobi to samo lewą ręką.

— Chodź-no, Tarzanie, — zawołał d'Arnot, — zobaczmy jakie będą twoje linje.

Tarzan chętnie zastosował się do życzenia d'Arnota, zadając oficerowi policji liczne pytania w czasie tej czynności.

— Czy odficia palców wskazują cechy charakterystyczne ras? — zapytał. — Czy może pan np. określić z odfitki palców, czy osoba była negrem, czy też należała do rasy kaukaskiej?

— Nie zdaje mi się, — odpowiedział oficer, — chociaż niektórzy utrzymują, że linje negrów są mniej skomplikowane.

Czy odfitki palców małpy dadzą się odróżnić od linji ludzkich?

— Zapewne tak, ponieważ linje małpy muszą być prostsze niż linje, należące do wyższych organizmów.

— Czy porównanie zabiera dużo czasu i dużo pracy? — zapytał d'Arnot.

— Zwykle kilka tylko chwil, jeżeli odfitki są wyraźne.

D'Arnot wyjął czarną książeczkę z kieszeni i zaczął przewracać stronicę.

Tarzan spoglądał na książkę ze zdziwieniem. W jaki sposób jego książka znalazła się w rękach d'Arnota?

D'Arnot zatrzymał się przy stronicy, na której znajdowało się pięć drobnych pręg.

Podał otwartą książeczkę urzędnikowi.

— Czy te odficia są podobne do moich lub do pana Tarzana, i czy może pan powiedzieć, czy są one identyczne z niemi?

Urzędnik wziął z biurka silne szkło powiększające i zaczął pilnie rozglądać wszystkie trzy wzorki, przyczem robił na nich notatki.

Tarzan teraz zrozumiał, jakie miała znaczenie wizyta u oficera policji.

Odpowiedź na zagadkę jego życia ukryta była w tych drobnych znakach.

W naprężonem oczekiwaniu siedział, pochylony naprzód w swem krześle, — nagle naprężenie nerwów osłabło i pochylił się w tył z uśmiechem.

D'Arnot spoglądał na niego ze zdumieniem.

— Zapomina pan, że już od dwudziestu lat trup tego małego dziecka, które pozostawiło te odfitki palców, spoczywał w chacie swego ojca i że ja całe swe życie widziałem go tam, — rzekł Tarzan z goryczą.

Urzędnik spojrział zdziwiony.

— Rób swoje, kapitanie, kończ badanie, — rzekł d'Arnot — opowiemy ci wszystko później, jeżeli pan Tarzan na to się zgodzi.

Tarzan kiwał głową na znak zgody.

Przyjaciele rozmawiając podeszli do wielkiego okna, wychodzącego na bulwar. Czas pewien stali tam, wpatrzeni w ruchliwy tłum, poruszający się na dole, zagłębieni w swych myślach.

— Porównanie odcisków zabierze jakiś czas, — myślał d'Arnot, zwracając się, by spojrzeć na urzędnika.

Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że urzędnik oparty w swym fotelu, pośpiesznie przeglądał treść małego czarnego djarjusza.

D'Arnot zakaszał. Oficer policji spojrzał na niego i widząc, że d'Arnot nań patrzy, podniósł palec, nakazując milczenie.

D'Arnot odwrócił się znów do okna. Teraz oficer policji przemówił:

— Panowie, — rzekł.

Obaj zwrócili się ku niemu.

— Jasne jest, że bardzo ważne sprawy zależą w mniejszym lub większym stopniu od zupełnej dokładności eksertyzy. Proszę przeto, abyście panowie pozostawili całą tę kwestję w moich rękach do czasu powrotu pana Desquere, naszego eksperta. Nie zabierze to więcej jak dni kilka.

— Spodziewałem się otrzymać odpowiedź od razu. — rzekł d'Arnot. — Pan Tarzan odplywa do Ameryki jutro.

— Obiecuje, że będzie pan mógł zatelegrafować mu rezultat w ciągu dwu tygodni, — odpowiedział urzędnik, — jaki on będzie, tego dziś jeszcze powiedzieć nie mogę. Jest podobieństwo, tak — lecz lepiej pozostawimy decyzję panu Desquere.

ROZDZIAŁ XXVII.

Olbrzym znowu się zjawia.

Pized starodawną rezydencją na krańcach miasta Baltimore zatrzymał się automobil.

Wysiadł z niego mężczyzna lat około czterdziestu, dobrze zbudowany, z regularnymi wyrazami rysami twarzy. Zapłaciwszy, pożegnał się z szoferem.

W chwilę potem przyjezdny gość wchodził do biblioteki starego domu.

— Ach, pan Canler! — zawołał staruszek, powstając na przywitanie.

— Dobry wieczór, szanowny profesorze, — zawołał gość, wyciągając z serdecznością rękę.

— Kto otwierał panu drzwi? — zapytał profesor.

— Esmeralda.

— Zawiadomi ona tedy Janinę o tem, że pan przybył, — wyrzekł staruszek.

— Nie, profesorze, — odrzekł Canler, — przede wszystkim chcę się z panem rozmówić.

— Ach, zaszczyt mi to przynosi, — rzekł profesor Porter.

— Profesorze, — ciągnął dalej Robert Canler uroczyście, jak gdyby starannie ważąc swe słowa. — Przybyłem dziś, by pomówić z panem o Janinie

— Znałe są panu moje zamiary i łaskawie zezwalał pan na moje starania o jej rękę.

Profesor Archimedes Porter zakreślił się w swym fotelu. Poruszony temat zawsze go niepokoił. Nie mógł zrozumieć powodów. Canler był wyborną partją.

— Panny Janiny, — ciągnął dalej Canler, — ja nie mogę zrozumieć. Zwleka, wysuwając to taki, to znów inny powód. — Mam wrażenie, że zawsze, kiedy się z nią żegnam, przyjmuje to z radosnem uczuciem ulgi.

— Ta, ta, ta, — rzekł profesor Porter. — Tak, tak, panie Canler. Janina jest posłuszna. Zrobi to, co jej powiem.

— Mogę więc ufać w pana poparcie? — zapytał Canler tonem, wyrażającym ulgę.

— Bez kwestji, panie; bez kwestji, — zawołał profesor Porter. — Czyż może pan w to wątpić?

— Obecny tu jest pan Clayton, jak panu wiadomo, — przemówił Canler. — Miesiące całe tu przebywa.

— Nie wiem, czy pannie Janinie zależy na nim, lecz prócz tytułu, jak mówią, odziedziczył on po ojcu znaczne dobra i nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby pozyskał pannę Janinę, — chyba że — tu Canler zatrzymał się.

— Ta, ta, ta, panie Canler, chyba — co?

— Chyba, że pan osądzisz, że my, to jest pańska córka i ja, mamy się pobrać niezwłocznie, — wyrzekł Canler wolno i dobitnie.

— Już mówiłem o tem Janinie, że byłaby to rzecz pożądana, — rzekł strapiiony profesor Porter, — gdyż nie mamy środków, by utrzymywać ten dom i żyć na takiej stopie, jakiej wymagają nasze stosunki towarzyskie.

— Jaka była jej odpowiedź? — zapytał Canler.

Powiedziała, że nie zdecydowała się jeszcze wyjść za mąż, — odpowiedział profesor Porter, — że możemy przenieść się do majątku w północnym Wiskonsin, pozostawionym przez jej matkę.

— Daje on pewne dochody. Dzierżawcy zawsze potrafili opędzić koszty i przesyłać jeszcze Janinie pewną sumkę corocznie.

— Pragnie, abyśmy tam wyruszyli następnego tygodnia. Philander i pan Clayton już tam się udali, aby przygotować wszystko na nasze przyjeście.

— Udał się tam Clayton? — zawołał Canler.

— Był widocznie dotknięty wiadomością, Dlaczego ja o tem nie wiedziałem? Chętnie bym się tam udał i zarządził, aby wszelkie wygody były zapewnione.

— Janina sądzi, że i tak już mamy zbyt wielki dług wobec pana, panie Canler, — rzekł profesor Porter.

Canler chciał odpowiedzieć, gdy rozległ się odgłos kroków z sąsiedniej komnaty i Janina weszła do pokoju.

— Ach, przepraszam! — wykrzyknęła, zatrzymując się na progu. — Sądziłem, że jesteś sam, ojcze.

— To jestem ja tylko, panno Janino, — rzekł Canler, powstając z miejsca. — Czy pani nie zechce wejść i przyłączyć się do rozmowy rodzinnej? Właśnie mówiliśmy o pani.

— Dziękuję, — rzekła Janina, wchodząc i siadając na krześle, które Canler jej podał. — Chciałam tylko powiedzieć papie, że Tobiasz przybywa jutro z kolegijum, aby zapakować książki. — Czy Tobiasz był tu? — zapytał profesor Porter.

— Tak, właśnie z nim się rozstałam. Wraz z Esmeraldą rozprawiają o sprawach religijnych.

— Ta, ta, ta, muszę się z nim zaraz rozmówić! — zawołał profesor. — Wybaczcie mi, dzieci, na momencik — i staruszek śpiesznie wyrzedł z pokoju.

Skoro oddalił się pan Porter, Canler zwrócił się do Janiny.

— Panno Janino, — rzekł stanowczo. — Pani nie odmówiła mi swej ręki, lecz i nie przyobiecała wyjść za mnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)